

Zawrotne honorarja aktorskie

Istniały już przed dwoma tysiącami lat

Słyszymy co jakiś czas, o bajecznych honorarjach, płaconych w Hollywood najwybitniejszym artystom filmowym, słyszymy tak że o olbrzymich kosztach, jakie pociąga za sobą wystawianie rozmaitych „monumentalnych” filmów. Mówi się przy tej okazji o „amerykańskich rekordach”, o amerykańskim rozmachu — wogóle! Ameryka stwarza na ziemi rzeczy, jakich jeszcze nigdy nie było.

A jednak wszystko to już było. Jak wykazały badania starożytności, Grecy i Rzymianie, dla których wielkie uroczystości połączone z przedstawieniami były tem samem, czem dla świata dzisiejszego film, honorowali pracę aktorską — jeśli o najwybitniej-

szych artystów chodziło — w jeszcze hojniejszy sposób, aniżeli dzisiejsi przedsiębiorcy z Hollywoodu. W tamtej epoce bowiem nie odgrywała jeszcze roli kalkulacja wielokapitałistyczna, bilanse, dywidendy, a na pierwszy plan wysuwała się „szeroka ręka”.

I tak więc w III wieku przed Chrystusem, jeden z najbarbarzyńszych ubóstwianych aktorów greckich Kitherothe Amphibios otrzymywał dzienną gałkę, która przeliczona na naszą walutę (po uwzględnieniu wartości złota i poziomu cen) odpowiadałaby w chwili obecnej... 10 tysiącom złotych. Zaznaczamy jeszcze raz: dziennie!

Podobnie było i w Rzymie. Wielki aktor za swe występy na dorocznych wielkich igrzyskach o-

trzymywał za sezon (który trwał 4— 6 tygodni) mniej więcej 300 tys. zł.

Najhojniejszy jednak był wielki okrutnik, ale jeszcze większy fantasta — osławiony Neron. W ciągu kilku lat jego panowania otrzymał od imperatora jeden z jego najulubieńszych aktorów 2.200.000 sestercjów, co na nasze warunki odpowiada... około 800 milionów złotych. Bagatelka!

Nie było to wypadki odierwane. I zresztą nie tylko do świata teatru odnosiły się te królewskie honorarja. Zdarzały się one również w literaturze i nauce. Coprawda, historia ze szczególną predylekcją opowiada nam tylko o tych twórcach, którzy żyli, lub pomarli, w nędzy, a pomija jako rzeczy same przez się zrozumiałe tych wybitnych twórców, którzy bardziej, niż pośmiertną sławę zdobyli doczesną mamonę. Za jedno ze swych dzieł otrzymał Plinius Młodszy honorarium w kwocie 2 milionów złotych. Wiadomo także, jak obsypywany był złotem i zaszczytami Horacy, a także Owidjusz, póty póki nie ściągął na siebie nielaski cesarskiej i nie został skazany na zsyłkę.

Ala, równorzędne z tą świetną karierą, jaka przypadała w udziale najwybitniejszym, ogół aktorów pędził życie w warunkach wcale niegodnych zazdrości. Więc i pod tym względem, jeśli się dziś mówi np. o dziesiątkach tysięcy głodujących aktorów hollywoodzkich, którym szczęście nie dopisało i którzy żyją tylko z ochłapów podrzędnych ról, jakie im od czasu do czasu przypadają — to warto przypatrzyć się, jak żył normalny aktor w starożytności.

Traktowano ich — tych „histronów”, nie zasługujących na

najmniejszy szacunek, a traktowanych pogardliwie — jak zwykłych niewolników, skazanych na łaskę i nienadzieję pana. Nie mieli przecież praw obywatelskich i za najłżejsze przewinienie groziła im conajmniej sroga kara, jeśli nie śmierć. Trzeba było dopiero wyjątkowego szczęścia, aby się aktor wybił ponad szary tłum — a wówczas los jego zmieniał się tak radykalnie, jak to wyżej przedstawiśmy. Czyż nie te same stosunki mamy dzisiaj?

Analogie idą jednak jeszcze znacznie dalej. Boć jeśli tak świat na była kariera najwybitniejszych, to nasuwa się automatycznie pytanie: jak walczyli o utrzymanie swych stanowisk, jak się wzajemnie podgryzali i wysadzali z siódl. Otóż — tak samo jak dziś. Autorka starożytnych nie ustępowała w niczym dzisiejszej, nie obywano się także bez zorganizowanej kliki, a rozgorączkowanie wzajemną rywalizacją dwóch gwiazd niejednokrotnie prowadziło do masowych walk między ich zwolennikami.

To samo wreszcie było także, jeśli chodzi o koszty wystawy. Mówi się dziś o dziesiątkach milionów, wydawanych na zmontowanie różnych monstrów — filmów. A cóż mówić o ziemianach, którzy (jak się o tem dowiadujemy z pamiętników Pliniusza Starszego) potrafili budować na scenie sztuczne jeziora, w marmur ujęte i pełne pływających nymf, w stroju podobnym, jak dzisiejsze girly, albo jeszcze mniej kosztującym? Całe okręty płynęły do Rzymu, naładowane tropikalnymi roślinami, drzewami kaktusowymi i palmowami, aby tworzyć kulisy dla wystawianych sztuk. Nie papier macher, nie imitacje i szczy, ale autentyczna natura — niech kosztuje ile chce!

Carmen w operze a w życiu

Niemile rozczarowanie reżysera filmowego

W poszukiwaniu nowych tematów filmowych postanowił słynny reżyser amerykański Cecil B. Milles sfilmować operę „Carmen” i wybrał się specjalnie do Sewilli, aby na miejscu zbadać możliwości reżyserskie, jakiego przedstawiał taki scenariusz.

Pierwsze wrażenia były wspaniałe: i historyczna, jeszcze z epoki baroku pochodząca fabryka tytoniu (takasama, jaką na scenie przedstawia każdy, dbający o „wierność” tła, dekorator operowy) i koszar artylerji nadawały się doskonale do zdjęć, a również z młodych zadzierzystych ludzi, włóczących się po placu, nieludnie byłoby złożyć wcale mały zespół, znalazłby się może nawet autentyczny Don José. Chodziło tylko o Carmen i o chór dziewcząt. Jak je znaleźć? Chyba najłatwiej w fabryce tytoniu.

Gdy reżyser omawiał te plany ze swymi nowymi miejscowymi znajomymi, ci z wesołym uśmiechem przytwórzili mu: „Ależ oczywiście, idź pan najlepiej do fabryki. Wczoraj, gdy się praca kończy, można mieć wspaniały przegląd...”

Milles usłuchał rady i... struchlał. Z bramy fabrycznej wychodziła, nie mająca zda się końca, procesja czcigodnych matron, przeważnie siwych i pokaźnej tuższy. W rękach, zamiast kwiatów, niosły koszyki z jedzeniem i ter-

mosy. O jakimkolwiek flircie żołnierzami z koszar żadnej oczywiście mowy.

— Cóż to się stało na Boga? — pytał po powrocie do hotelu. — Czyżby cała historia z Carmeną była fantazją, nawet na żadnym realnym tle nie opartą? Gdzież się u was podziały młode dziewczęta?

Ala mu wyjaśniono zagadkę. Pracownice fabryki tytoniu, który jest przecież przedmiotem monopolu, są już oddawna funkcjonariuszami państwa i mają zapewnioną na starość emeryturę, to też każda trzyma się swej posady. A że obok starych robotnic niema żadnego młodego „narybku”, to się tłumaczy całkiem prosto: racjonalizacja. Od szeregu wiek lat przechodzi się z dawnej produkcji czysto ręcznej na fabrykację maszynową, w miarę jak stare robotnice przechodzą na emeryturę. Proces racjonalizacji jeszcze jest daleki od zakończenia i o młodych robotnicach w fabryce nieprędko jeszcze można będzie myśleć.

Milles wyjechał z Sewilli, nie zdecydowawszy, czy warto filmować „Carmen”. W każdym razie trzeba by zaangażować specjalnie cały ensemble kobiecy — o nakręcaniu filmu bezpośrednio z życia, z „rzeczywistej rzeczywistości” sewilskiej, nie może być mowy.

Niecnofliwa Zuzanna

I naiwni mężczyźni

Historja paryska, ale równie dobrze mogła się zdarzyć w innym wielkim mieście. I zdarza się rzeczywiście. Należy bowiem do typowych sposobów oszustwa, a ludzie są ciągle tak naiwni, że się na te właśnie najprymitywniejsze sposoby najczęściej dają nabrać.

Rzecz działa się w solidnej rodzinie mieszczańskiej pana, dajmy na to, Dupont. W nieobecności pana domu dzwoni telefon, a głos kobiecy oświadcza: „Niema go? Co za szkoda! Proszę mu powiedzieć, że czekam, aby się wreszcie zjawił. Tu mówi Zuzia”.

Z kwaśną miną i złośliwym błyskiem w oczach zawiadamia pani Dupont męża o telefonie „przyjaciółki”. Próżno się biedak zaklina, że to chyba jakiś nieporozumienie. Atmosfera małżeńska jest skwaszona, a jeszcze się bardziej zakwasza, gdy w dwa dni później pan Dupont otrzymuje pachnący liścik miłosny, w którym Zuzia wyrzuca „swojej kochanej małpeczce”, że onegdaj napróżno czekała. Umieszczony na końcu listu adres uchyła rąbek tajemnicy. Nieszczęsny mąż ponownie się zaklina, że jest niewinny, ale czyż znajdzie wiarę? „Mężczyźni są wszyscy jednakowi!” — pada twardy, zawzięty, bezapelacyjny wyrok z ust żony.

Co tu robić? Dobrze przynajmniej, że jest adres, trzeba wyjaśnić nieporozumienie, albo pokazać te intrzygantki, gdzie to raki zimują. P. Dupont wyprawia się do nieznajomej Zuzi, która okazuje się młodą, przystojną osob-

ką i niemniej od niego jest tą sprawą poruszona. Nie telefonowała przecież ani nie pisała żadnego listu, czyż to może złośliwość jakiejś przyjaciółki? Co za przykreść!

Nieznajoma przeprosza pana Dupont tak serdecznie i z takim wdziękiem, że uszczęśliwiony z wyjaśnienia nieporozumienia solidny pan wdaje się w pogawiedkę, która szybko przechodzi w poufalskość, potem we flirt, a potem... W chwili, gdy gość, oczarowany rozkossem przyjęciem i czynionym mu awansami, pozwolił sobie na nieco śmielszy gest, delikatnie obejmując młodą gospodynię, otwierają się z trzaskiem drzwi i wpada dwóch mężczyzn.

— „Och, mój mąż z bratem!” — Sytuacja fatalna. Najlepiej byłoby wyskoczyć oknem, gdyby nie to przekleste szóste piętro. Robi się awantura, wymyślanie, szturchanie, groźby aż wreszcie nieszczęśliwy pechowiec oddaje wszystkie, jakie ma przy sobie, pieniądze i podpisuje weksel na grubszą sumę, byle wyjść cało z matni.

W ten sposób, wyszukując swe ofiary z książki telefonicznej, szukała trójka grasowała przez dłuższy czas, aż raz nareszcie trafiła na rezolutniejszego gościa, który nie zawahał się prosto z mieszkania „Zuzi” pójść na policję. Pokazało się, że całe towarzystwo ma za sobą bogatą przeszłość kryminalną, a na sumieniu z kilkuset zoperowanych „klientów”. Ci jednak wolą się nie zgłaszać.

Ala, równorzędne z tą świetną karierą, jaka przypadała w udziale najwybitniejszym, ogół aktorów pędził życie w warunkach wcale niegodnych zazdrości. Więc i pod tym względem, jeśli się dziś mówi np. o dziesiątkach tysięcy głodujących aktorów hollywoodzkich, którym szczęście nie dopisało i którzy żyją tylko z ochłapów podrzędnych ról, jakie im od czasu do czasu przypadają — to warto przypatrzyć się, jak żył normalny aktor w starożytności.

Traktowano ich — tych „histronów”, nie zasługujących na

Ala, równorzędne z tą świetną karierą, jaka przypadała w udziale najwybitniejszym, ogół aktorów pędził życie w warunkach wcale niegodnych zazdrości. Więc i pod tym względem, jeśli się dziś mówi np. o dziesiątkach tysięcy głodujących aktorów hollywoodzkich, którym szczęście nie dopisało i którzy żyją tylko z ochłapów podrzędnych ról, jakie im od czasu do czasu przypadają — to warto przypatrzyć się, jak żył normalny aktor w starożytności.

Traktowano ich — tych „histronów”, nie zasługujących na

Ala, równorzędne z tą świetną karierą, jaka przypadała w udziale najwybitniejszym, ogół aktorów pędził życie w warunkach wcale niegodnych zazdrości. Więc i pod tym względem, jeśli się dziś mówi np. o dziesiątkach tysięcy głodujących aktorów hollywoodzkich, którym szczęście nie dopisało i którzy żyją tylko z ochłapów podrzędnych ról, jakie im od czasu do czasu przypadają — to warto przypatrzyć się, jak żył normalny aktor w starożytności.

Traktowano ich — tych „histronów”, nie zasługujących na

Ala, równorzędne z tą świetną karierą, jaka przypadała w udziale najwybitniejszym, ogół aktorów pędził życie w warunkach wcale niegodnych zazdrości. Więc i pod tym względem, jeśli się dziś mówi np. o dziesiątkach tysięcy głodujących aktorów hollywoodzkich, którym szczęście nie dopisało i którzy żyją tylko z ochłapów podrzędnych ról, jakie im od czasu do czasu przypadają — to warto przypatrzyć się, jak żył normalny aktor w starożytności.

Traktowano ich — tych „histronów”, nie zasługujących na

Czterysta milionów ludzi

zginęło w Chinach

Profesor Cziao - Czi - Ming z uniwersytetu w Nankinie obliczył, iż wojny, głód, epidemie, powodzie zabrały życie 400 milionom ludzi w Chinach w ciągu ostatnich 60-ciu lat. To znaczy, że w ciągu tego czasu w Chinach zginęło śmiercią gwałtowną akurat tyle ludzi, ile kraj ten posiada obecnie ludności.

Według spisu ludności z 1943 roku, posiadali Chiny wówczas 404.964.000 mieszkańców. Pomimo wysokiego odsetka narodzin, przyczyn naturalnej ludności w Chinach jest słaby i od r. 1943 zwiększyła się liczba ludności tylko o 43 miliony, do 447 milionów w roku 1936.

Tak słaby wzrost liczebny ludności w Chinach przypisuje profesor Cziao - Ming niesłychanie wielkiej ilości ofiar, które zabie-

rają katastrofy żywiołowe oraz wojny, trapiące ten wielki i bogaty kraj.

HUMOR

SKOCI

— Ach, cudny to wynalazek, ta piękna biała farba.

— Skąd ci to przyszło?

— Widzisz, co wieczór smaruję noskiem naszemu dziecku tą farbą. Mogę potem nawet pociemku rozpoznać, gdzie dziecko ma usta, a jeśli w nocy zacznie krzyczeć, można mu dać mleko, nie zapalając światła.

OTWARTOŚĆ

— Jakiś pan przyszedł do pana — melduje służąca.

— Elegancki pan?

— Nie, taki mniej więcej jak pan.

Najosobliwszy dziennik

na świecie

Osobliwy w swoim rodzaju jest dziennik, który ukazuje się w Londynie w 30.000 egzemplarzy, ale... nie ma czytelników w sensie zwykłym tego słowa. Nie należy jednak przypuszczać, iż chodzi tu o jakiś ekscentryczny wybrzyk milionera, przeciwnie, jest to pismo o poważnej treści.

Dziennik ten nosi nazwę „Police Gazette”, jest wydawnictwem Scotland Yardu, w którym ukazują się codziennie informacje o

przestępcach i przestępstwach połączonych w ciągu doby we wszystkich krajach świata. Dziennik przeznaczony jest wyłącznie dla użytku dyrekcji policyjnych w Anglii i poza nią.

Osobliwy dziennik istnieje od r. 1828, liczy więc sobie przeszło sto lat. Z początku wychodził nieregularnie, co kilka dni, aż wreszcie Scotland Yard przeobraził go w pismo codzienne.

Lody „PINGWIN” w opakowaniu

DO NABYCIA WSZEDZIE

MARJAN MALKOWSKI 19)

TAJEMNICA

ZA KAŻDEMI DRZWIAMI

Powieść

— Może to tylko przywidzenie, czy ja wiem; wszystko naokoło wydaje mi się podejrzanym od chwili, gdy pan Julian... Przysunęła się bliżej do Jankiewicza i dotknęła palcami jego ramienia... — Widzi pan, on mi ufał, wierzył mi, a ja... coż mogłam zrobić dla niego?... bronić sama nie wiem czego... Bo widzi pan to, że go zabili to jeszcze nie wszystko... można zabrać człowiekowi coś więcej niż życie... Mówił mi... nie zawsze rozumiałam, co mówił; prosta kobieta jestem. Pan by go pewnie lepiej mógł zrozumieć.

— I mówi pani, że nawet teraz czegoś jeszcze chcą...

— Sama nie wiem; wczoraj przyszedł handlarz starzyzna, papier kupować, koniecznie papiery... U nas tam niema tego wiele. Wtedy zaczął mnie namawiać, że pewnie po lokatorze, to jest po panu Choleńskim papiery muszą być i pisma, żebym mu przyniosła koniecznie. Aż mnie coś tknęło... Wypchnęłam go za drzwi i wróciłam. Powiedział mi: to nie moje, ja rzeczy pana Choleńskiego sprzedawać nie będę, a on mi: co za rzeczy, papiery takie śmiecie... Poszedł wreszcie, ja za nim. Zdążyłam iść, patrzeć. Ani gdzie wstąpi, jakież to handlarz, myślę sobie; dopiero widzę, jak się z kimś spotkał... Pan jakiś go tam czekał w uliczce; gadali długo wreszcie poszli jeden w jedną, drugi w drugą stronę. Wróciłam, ale coś mnie ciągle niepokoi. Nie wiem, nie wiem... Prosta kobieta jestem... Pan Choleński człowiek wykształcony był, edukowany... — Umilkła i głową pokręciła jakby w zakłopotaniu.

— Dziwnie się czasem zachowywał, prawda? — poddał od niechcenia Jankiewicz. — Troski miał, zmartwienia, niepokój?... — Niepokoje... — powtórzyła kobieta. — O tak, spokojnym nie był... Dziwny był. Przyszedł kiedyś pokój sprzątać parę miesięcy temu... on siedzi przy biurku i śmieje się, a tak się śmieje aż mnie coś w gardle ścisła i mówi: Widziała pani człowieka, co się sprzedał? to niech pani na mnie popatrzy! Ja mu mówię: co też pan wygaduje, gdzież się kto dziś sprzedaje... dawniej to tam bajki opowiadał o ludziach, co dusze diabłu sprzedawali... A on śmiać się przestał i taki smutny patrzy na mnie i dziś, dziś także duszę sprzedać można...

Obejrzała się nagle i chustką mocniej naciągnęła na siebie.

— Muszę iść... i tak ja mu już nic... ani pan... ani nikt. Pan mnie i tak pewnie za warjatkę...

— Nie, nie... To wszystko, co pani mówi jest ważne, bardzo ważne i może stało się dobrze, że powiedziała mi to pani. Zobaczymy. Gdyby pani chciała mi jeszcze coś powiedzieć, gdyby się pani chciała poradzić... proszę o mój adres... Proszę schować ten bilet i przynieść jeśli będzie pani miała coś do powiedzenia.

Kobieta wzięła bilet i popatrzyła w twarz pana Jankiewicza smutnymi żrenicami ogromnych, pełnych melancholji oczu.

— Dziękuję panu...

Odeszła prędko i zniknęła wkrótce za rogiem ulicy.

Każdy człowiek ma w życiu swoim jakąś ścieżkę, po której chętnie podąża, teren jakiś, na którym obracać się lubi najbardziej. Takim terenem znanym a zawsze chętnie nawiedzonym były dla wywiadowcy Cudziś... schody kuchenne. W te kulisy życia, często zdradliwie skrzypiące, a zawsze przesycone woniami jedzeniowymi mydłami lubiał się zapuszczać z uchem chciwie nastawionym do łowienia najłżejszego szmeru. Znał dobrze i rozpoznawał chropawe oblicza drzwi kuchennych i z brzęku roztrzaskanych garnków, czy z ruty piosenki, z woni przypalonych, z ciurkania niedokreślonego

kranu wnioskował sobie o wyglądzie wnętrza nim wszedł. Kuchnia to była najmniejsza i najciemniejsza część mieszkania, bastion forteczny broniący przez najemne więc niezbyt gorliwe wojsko. Przez kuchnię, przez niewidzialne szczeliny przesączała się nazwęwnątrzną istotną atmosferą mieszkania, ta, której wyczuwać nie podobna u drzwi frontowych lub w salonie.

Wywiadowca Cudziś poprawił nakrycie głowy (tym razem był to melonik) i przełożywszy do lewej ręki podniszczoną już nieco, ale jeszcze porządną teczke, jął wspinać się lekko po schodach. Wywiadowca Cudziś nie lubił występować jako funkcjonariusz policji; miał swoją własną i jak uważał nieomylną metodę. Zatrzymał się na drugim piętrze przed drzwiami kuchennymi mieszkania pani Westen i lekko a stanowczo zapukał. Jednym rzutem oka ocenił ferytyczną osobkę, która mu drzwi otworzyła i sięgnął do teczki... Fotograf, które rozłożył na kolanach zainteresowały pannę Wikcie; były tam różne piękne panie w efektownych pozach; za jedne pięć złotych można było mieć własny portret wcale duży i dwie mniejsze fotografie do tego; okazja, reklama... Cudziś wręczył pannie Wikcie kupon i usiłując ją do zamówienia zdjęć zachęcać, nie przestając fotografować przekładając; jedną w rękę zatrzymał, przedstawiała młodego, jasnowłosego mężczyznę.

— Przystojny facet, co? — mruknął.

Panna Wikcia na fotografję objętym okiem rzuciła:

— Niczego sobie... ale taki mizerak... — Wydęła wzdurliwie wargi.

— Tak pani mówi, a takiego przystojnego to pani pewnie nie widziała! — uważnie patrzył w twarz dziewczyny.

— Et, lepszych ja znalazłam... — Wzruszyła ramionami.

Wywiadowca Cudziś się nie śpieszył. Fotografję zbierał i zagadywał... o pracy, czy jest dużo, a pani czy wymagająca, a gości dużo bywa?... Pewnie kawalerowie do panny; nie? Zaręczona... Narzeczony stary i zazdrosny... pewnie bogaty...

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon: 666-68 (redaktor naczelny), 666-68 (sekretariat), 666-99 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12—13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefon: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgozbiór i Kasa 220-30. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56, Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P.K.O. Nr. 15-798.

PRZEDSIĄWZIĘCIA: Piotrków Trybunalski, Słowackiego 8, tel. 59. Włocławek, Cyganki 24, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnikiem do domu) i na prowincji zł. 2-30 miesięcznie; wydanie B wraz z dzielnymi Sienkiewicza zł. 3-30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł., opisy specjalne — 3 zł., lekiarskie — 30 gr. Nekrologia — 2 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.